

Alfred Jesionowski

# Nowe powieści

Ostatnie tygodnie przyniosły dużo nowości w dziedzinie beletrystyki — i, rzecz znamienne, w tem stosunkowo niewiele przekładów z literatury obcych. Dobry to znak. Przedewszystkiem dlatego, że młodzi autorzy polscy mają przez to więcej szans dojścia do głosu. Niektóre debiuty w roku bieżącym były wielce obiecujące, aby przypomnieć powieści Badowskiej, Millera, Drzewickiego, Wasilewskiej, Nowaka. Nie są to jeszcze rzeczy pełnowartościowe, z takich czy innych względów, jakie wysunięto w recenzjach szczegółowych, ale napisane z talentem, noszące znamiona oryginalności i indywidualności, obiecujące dużo.

Do tych udanych debiutów przybył nowy, powieść Wiesława Wóhnoty: „Miłość i Sprawa”. Mimo zupełnie widocznego wpływu „Bigdy” na powieść Wóhnoty, wpływu, ujawniającego się w ujęciu fabuły politycznej, nie zaciążył Kaden-Bandrowski na autorze w ujęciu ideologicznym, przeprowadzonym przez Wóhnotę samodzielnie i ciekawie. Rzecz dzieje się w środowisku pepesowskim (Kraków?). Tło i postacie ujęte są niezwykle realnie i trafnie. Postacie niektórych bohaterów przypominają nam żywych działaczy obozu socjalistycznego. Miałoby się poprostu pokusę postawić na miejsce młodego Golda, radcy Michnikowskiego czy starego Głaza nazwiska prawdziwe. W Piotrze zaś trudno nie dostrzec autora (rozumie się: niezapewne).

Przedstawiając całą jałowość wysiłków obozu socjalistycznego, smutne tony o krzesła poselskie i wpływy w partii, biurokrację urzędów partyjnych, walkę młodych ze starymi, uniknął autor przejawiania i karykatury. Dzięki temu posiada powieść Wóhnoty do pewnego stopnia walory dokumentu. Wiemy — co nam Wóhnotę uświadomił i przypomniał: tak mniej więcej było. I nie tylko w P. P. S.

W wątku „sprawy” pomieszczył autor nietylko walkę wewnętrzną partii o ideologię i wpływy, dał także kilkanaście doskonałych skomponowaniemi skrótkami obraz życia społecznego, obraz widziany oczyma socjalisty — nie — raczej partii i socjalisty szczerzego (autora). Strajk w fabryce cegielni Ehrenlosa (nomen-omen) to właśnie taki wywiew z życia, wywiew dobrze znany socjalistom i ciekawie przedstawiony, obfitujący w świetne opisy, momenty dramatycznego napięcia (śmierć Przybyły).

Obok „sprawy” — miłość. Przenika ona powieść całkowicie. Gdyby chodziło o zdefiniowanie miłości Piotra, głównego bohatera powieści — to nie będziemy ani chwili w kłopotach. Nie damy się zbalać miłością Piotra do Ziny, ani do Helenki, ani do Reginy. Piotr kocha tylko sprawę naprawdę, kocha w ogóle ustawicznie nienasycony — ale my to nienasyconie rozumiemy. Nie jest ono z gatunku witiwiczowskiego. Jest ono nienasyconie nieskrystalizowanej całkowicie duszy, duszy w poszukiwaniu prawdy i szczęścia. Szczęście w miłości do kobiety znalazłby Piotr, gdyby znalazł kobietę, którą by kochał w sobie temperament Reginy, uległość Helenki i drażniący niepokój Ziny — i gdyby również oddana była „sprawie”. Wtedyby Piotr przedjął porzucił socjalizm dla ideologii radykalniejszej, znalazłby ten spokój duchowy, którego brak go unieszczał, czynił niezdolnym do decyzji i działania zgodnie z jego poglądami i zapatrywaniami. Wątek miłosny w powieści Wóhnoty, mimo ujęcia świeżego i śmiałego, mimo znakomitej w wielu wypadkach obserwacji, nie jest tak jasno i przekonująco skomponowany, jak wątek „sprawy”. Za dużo tu filozofowania, abstrakcyjnych dyskusji, za mało przeżycia. W dorobku powieściowym bieżącego roku stanowi powieść Wóhnoty pozycję wartościową, pozwala spodziewać się od autora rzeczy naprawdę tegiej.

Ką innemu odcinkowi niedawnej przeszłości zwróciła się autorka Wóhnoty — Irena Pannenkowa. Tematem tej powieści jest formowanie się nowej Polski na terenie Małopolski Wschodniej, przygotowania do wyzwolenia, walki z Moskalami i Rusznami, oswobodzenie Lwowa. Pod względem kompozycji budzi powieść ta dość duże zastrzeżenia. Ciągłość

akcji utrzymuje autorka z trudem — wątek rwie się co chwila i tylko dzięki znajomości rzemiosła pisarskiego — całości wypadła zadowalająco. Wyjazd i pobyt Marji, żony głównego bohatera, jest jak i kilka innych epizodów, najzupełniej zbędny. Nie wnosi nic nowego do akcji, ani do zagadnienia ideowego powieści. Razi powna rozwlekłość w rozwijaniu tematu, zbytnia drobiazgowość w opisie szczegółów drugorzędnych.

Temat sam ujęty jest oryginalnie i ciekawie, wątek erotyczny zresztą wpieciony w akcję patryjotyczno-polityczną, ocena poszczególnych działań, czynów formacji wojskowych (Legionów i P. O. W.) sprawiedliwa, ale może zbyt pobieżna. Postacie

powieści są dość prawdziwe — ale za mało żywe, za mało plastyczne. Mimo tych, może zbyt skrupulatnie, podkreślonych wad, powieść czyta się, ze względu na nowość tematu, z zainteresowaniem.

Spod pióra Jerzego Bandrowskiego wyszły świeżo trzy interesujące utwory, dwa związane z regionem wielkopolskim, i powieść psychologiczną p. t. „Pałac polarnych lalek”, którą omówimy przy innej sposobności dokładniej.

Pierwszy z regionalnych utworów nosi tytuł: O małym miasteczku (p. t. „Małe miasteczko”). Na ten tomik składa się sze-

\*) JERZY BANDROWSKI: O małym miasteczku. Bibli. Wiei Wielkop. T. VII. Września 1934. Str. 79. Nakł. A. Pradzińskiego.

reg wartościowych z punktu widzenia regionalizmu szkiców. Autor wczuł się ze zdumiewającą intuicją w duszę małego miasteczka, odgadł jego serce i wartość. Zrozumiał i uwypuklił jego znaczenie dla kultury narodowej, dostrzegł niespożyte siły tkwiące w regionie, dojrzał zale i ból, dumę i radość tych cichych pionierów kultury regionu — i przez nią bogactwo pierwiastków, składających się na twórczość ogólnonarodową we wszystkich dziedzinach naszego życia. Bandrowski nie ogranicza się do pewnych obserwacji, ale stwierdzenia pewnych faktów — ale wyciąga z nich niezmierne interesujące wnioski. Oto jak sobie np. autor wyobraża kulturę prowincjonalną:

„Musł być w całości polską i oryginalną. Znaczący to, że życie prowincji powinno być wzniesione na światło dzienne wszystkie najlepsze wartości rdzennie polskie, pomnożyć je, gdzie tego potrzeba wymaga. Dostosować zresztą do wyżyny kultury dzisiejszej, w ogóle stworzyć miłą i pogodną pod każdym względem czysto polską atmosferę moralną, umysłową i materjalną”.

Możliwości ku temu są, bo:

„Na prowincji jest mnóstwo bogactw, księgozbiorów prywatnych i doskonale dobranych. Jest ich stosunkowo o wiele więcej niż w miastach wielkich. Prowincja czyta może więcej, ale za to wiele dokładniej, ponownie, sumiennie i traktuje książkę na serio. Nie jest zadowolona, nie ma arogancji i tupetu, gdy nie rozumie nie potępi — ale domaga się wytłumaczenia”.

Prowincja mogłaby ogromnie dużo zrobić dla kultury ogólnonarodowej, gdyby najlepsze siły nie odpływały do wielkich miast, gdyby wólc centra nie czerpały tak bezceremonialnie z najlepszych sił prowincji bez rekompensat. O tej kulturze regionu wypowiada Bandrowski prawie na każdym miejscu tego niewielkiego, a tak zajmującego tomiku, dużo cennych uwag, przytacza przykłady pracy, twórczości regionalnej, nawołując do ziomienia duszy prowincji, do pomocy w pracy kulturalnej na „małym miasteczku”.

Zagadnienie regionu, tym razem wsi, wysuwa się na pierwsze miejsce właśnie w wydanej powieści Bandrowskiego p. t. Rajski Ptak.

Wpiew dygresja. Gdyby się to komu na co przydało — miałoby się nieraz ochotę opowiedzieć dokumentnie, w ścisłej kolejności, jakich się doznaje wrażeń przy lekturze niektórych księzek. Możeby się to i przydało samym autorom, ale wiadomo, że pp. twórcy niechętnie się odnoszą do wszystkiego, co nazywają powieścią, do tego, co powie krytyk. Nie przypuszczam, by Jerzy Bandrowski należał do tych twórców, bo właśnie w „Rajskim Ptaku” rozprawia się dość ostro z szeregiem przejawów współczesnej twórczości artystycznej, literackiej. I ma rację w dużej mierze. Zgodzimy się z Bandrowskim, gdy twierdzi, że dla polskiego chłopca oświeconego niema odpowiedniej literatury beletrystycznej. Ma rację autor „Rajskiego Ptaka”, utrzymując, że zarówno znaczna część inteligencji, jak artystów, grzeszy jeśli nie wyraźnym oportunistycznym, to w każdym razie obojętnością dla wielu palących spraw. Może trochę zbyt lapidarnie, ale niebardzo daleko od prawdy, określił Bandrowski pewne tendencje sztuki dzisiejszej: mówiąc o występującej w powieści artystyce filmowej, której głównie o to chodzi, by w filmie efektywnie umieszczyć swój główny wątek, mianowicie (daruje) swój zgrabny tyłeczek, twierdzi, że ta artystyka „ma genialne wyznaczenie dzisiejszej rzeczywistości artystycznej”. Nie jest to prawda całkowita — ale duże w tem racji. Powie czytelnik powieści, znający Bandrowskiego: że autor odnawia rekolacje na wsi. A choćby. Inuż artystom przydałoby się takie rekolacje. Mam wrażenie, że szczególnie wieś wielkopolska, którą Bandrowski wziął za tło swej powieści, nada się do tego celu znakomicie. Podobnie jak w małym miasteczku, odkrył autor we wsi wielkopolskiej nieznane i niespodziewane skarby. Oświecony chłop wielkopolski zaimponował autorowi słusznie szerokością swych poglądów, głodem wiedzy, zaradnością, zdrowiem fizycznym i moralnym. Zaimponowała mu wielkopolska wieś, której on pierwszy poświęcił w polskiej powieści opis obszerny i ciekawy. Pierwszy zwrócił uwagę na pełen harmonii pejzaż wielkopolskiej wsi:

„Widoki Wielkopolski są w wysokim stopniu muzyczne. Mają wyraźny rytm szerokiego, symfonicznego „Largo maestoso”, równocześnie zaś ich równina rozległość nie jest ani monotonna, ani smutna, ani nudna. „Równina, ale podbita i uporządkowana przez kulturę, skutkiem czego ma inteligentniejszą, bardziej ożywioną minę (niż równina rosyjska lub węgierska). Patrzy rozumnie, bierze udział w pracy i życiu człowieka, nie wieje z niej pustka, lecz raczej szeroko rozmachnięta, rozumna ślota. Niech pan patrzy, jak pięknie spłazniona są te poczwirne, rozmaite czerwone dachy domów. „U góry najjaśniejsze tony, niż ciemniejsze i ciemniejsze. Akord. — A u dołu czerwienią starego, burzundzkiego wina — dominanta”.

Co w „Rajskim Ptaku” najciekawsze — to nie wątek powieściowy, fabuła, raczej wątek, ale właśnie owe obserwacje o wsi i chłopie wielkopolskim, dyskusje na tematy współczesnej kultury literackiej i artystycznej, na temat kryzysu duszy, schorzałej i smutnej przez namiętne przeżywanie w nieszczęsny nerwy środowisku zadystrygowanych, wicecznie się śpieszących, na nie czasu niemających ludzi, ludzi wielkiego miasta. „Po zdrowie moralne, po odpoczynek duchowy na cichą wieś, do spokojnego miasta!” — zdaje się wołać autor. — „Nie bójcie się — i tam jest kultura, tylko innego rodzaju”. Warto, warto czytać „Rajskiego Ptaka” Bandrowskiego, mimo widocznego i, niestety, przykrych braków, niedociągnięć natury artystycznej.

\*) JERZY BANDROWSKI: Rajski Ptak. Poznań 1934. Str. 292. Księgarnia Św. Wojciecha.

L. Całkosinśka

## Cyfry w bańce mydlanej

Dziwna to i pod wielu względami, znamienna dla współczesnej twórczości powieść. Jakże daleko odeszliśmy od jasnej, zdecydowanej opinii o autorze i jego dziele. Czytając „Bois mort” korygujemy nieustannie nasze pierwsze wrażenia. Zmieniamy, by znowu i już do końca, doznawać coraz to innych. A kiedy zamknijemy książkę, pozostaje, jak po tych contes de Noel uczucie oszołomienia. Tyle tam zimno, mrozu i śniegu, jakgdybyś upił się haustem lodowatego powietrza. Potem, znacznie później, przychodzą refleksje, wyluskania móżdżku z impresjonistycznych osłonek fabuła zdaje się tematem zużytym i zszarzałym, n'emał kłopotliwym w niezmienności romansu o ginących rodach.

Znamy ją wszyscy, możemy prawie bezbłędnie przepowiedzieć dalszy rozwój akcji. Młoda spadkobierczyni nazwiska i tradycji... Ruina... Nowi ludzie, moźni, wpływowi. Nienawiść (zdolna przerodzić się w miłość). Walka i zwycięstwo... A zatem to tak? A rzeczywistość, nie brak tu nikogo, żadnej z stereotypowych postaci. Jest nawet nieszkodliwy obłąkaniec, nawet kwestja majątkowa, nawet cyfry szepcane młodemu wargami Corolle Alerac. Ścisłe według recepty Balzaca. Tylko, że niema w tem jego zaśluzi.

Wyobraźmy sobie cyfry w bańce mydlanej — a tak przedstawia się koncepcja autorki. Młoda spadkobierczyni nazwiska i tradycji — to nie będziemy ani chwili w kłopotach. Nie damy się zbalać miłością Piotra do Ziny, ani do Helenki, ani do Reginy. Piotr kocha tylko sprawę naprawdę, kocha w ogóle ustawicznie nienasycony — ale my to nienasyconie rozumiemy. Nie jest ono z gatunku witiwiczowskiego. Jest ono nienasyconie nieskrystalizowanej całkowicie duszy, duszy w poszukiwaniu prawdy i szczęścia. Szczęście w miłości do kobiety znalazłby Piotr, gdyby znalazł kobietę, którą by kochał w sobie temperament Reginy, uległość Helenki i drażniący niepokój Ziny — i gdyby również oddana była „sprawie”. Wtedyby Piotr przedjął porzucił socjalizm dla ideologii radykalniejszej, znalazłby ten spokój duchowy, którego brak go unieszczał, czynił niezdolnym do decyzji i działania zgodnie z jego poglądami i zapatrywaniami. Wątek miłosny w powieści Wóhnoty, mimo ujęcia świeżego i śmiałego, mimo znakomitej w wielu wypadkach obserwacji, nie jest tak jasno i przekonująco skomponowany, jak wątek „sprawy”. Za dużo tu filozofowania, abstrakcyjnych dyskusji, za mało przeżycia. W dorobku powieściowym bieżącego roku stanowi powieść Wóhnoty pozycję wartościową, pozwala spodziewać się od autora rzeczy naprawdę tegiej.

Tak to z pozoru przedstawia się koncepcja autorki. Mimowolnie ma się do niej żal o banalność fabuły. Ale kiedy się z tem pogodzi, zjawia się nowy, bogaty motyw, walki o supremację, o prawa tradycji, o rząd dusz. Ta walka przeistacza powieść, nadaje jej nową, szlachetniejszą, piękniejszą kształt, otwiera nowe perspektywy, wprowadza głęboki ton pokrewny północnym opowieściom o ziemi, i walce ścierających się indywidualności. A ostatecznie okazuje się, że nie Corolle Alerac jest najważniejszą postacią, nie stary Guillaume Alerac, — ale cała wygasła już rodzina. Historia młodej dziewczyny staje się czemś drugorzędnym. To co najważniejsze, to historia Rodu, jego wędrówek przez stulecia. Wędrówek w przestrzeni i czasie, w której dziś, wczoraj i jutro nie kłopotczą się o wyznaczone im miejsca.

Nikt tu nie robi ceremonij z prawidłem jedności. Aleracowie, ci sprzed pięćdziesięciu, ci sprzed stu lat, pojawiają się nieustannie, zasiadają w swych fotelach, niby nieodparta, najprawdziwsza rzeczywistość. Jakgdyby zużyta mapa świata, nad którą pochylały się żony Aleraców śledząc z pomocą igły, drogi morskie ich meźów, stała się mapą wędrówek w czasie. Jakgdyby nałóg podróży wszedł im w krew, i w zwyczaj. Co za nienasycona żądza przygód, wyrwywająca ze snu zgłuszone pokolenia i każąca powracać na ziemię Alexandri-

czący płomień na tle zimowego krajobrazu.

„Bois Mort” można r...ać księgę podróży Aleraców. Kto wie czy te podróże nie decydują o wartości i pięknie powieści? Ci Aleracowie przez setki lat mieli w posiadaniu ziemię, ale gnani żądzą nowości, przygód i bogactwa opuszczali ją na całe lata. Z tego rodziło się wiele podróży, wiele pieniędzy i ogromne poważanie. Kapelusze kłoniły się przed Aleracami, otwierały się banki, urządzano bale na ich cześć. W gorące noce suknie gazowe wirowały, wirowały... Aleracowie brali laski ze złotymi galkami, rękawiczki od wielkiej ceremonij, a w kościelnych rejestrach piękne nazwiska młodych dziewcząt kładły się obok ich imion. Teraz na drugiej części świata, w ich rodzinnych domach, w przestronnych salach błąkały się niby stworzone po zachodzie słońca motyle, nowe, gardłowe głosy: Pepita, Jeffa, Inez i ta Szwedka Ingrid, — nie wiadomo skąd i czemu...

„Zabieranie żon na wyspy było zwyczajem i jednym z warunków przy zawieraniu małżeństwa Aleraców. Rodzina obawiała się przybłędów, awantur i małych, kolorowych Aleraców. Wracali stamtąd, cierpiące i zziębnięte. Czemprędzej kupowano im futrzane okrycia: dla nich wypełniał się dom gorącami kamionkami, ogrzewaczami i beżmiarem żelazek do fryzowania. W miasteczku nazywano je „Espagnoles”. Mialy też niewiele dzieci”.

„Fortuny mają swe wiekowe choroby, fluksyje: naraz przychodzi bogactwo... A potem jakieś niedomaganie zabiera pieniądze. Ciężka wlokąca się anemia... to znowu znacznie prędsze: galopujące suchoty”.

„Fortuna Aleraców dobiegała do końca. Uczono się oszczędzać. Nadlatywały złe dni. — „Pani pragnie chustki? — To trzydzie-

ści franków”. — Te trzydzieści franków tworzyło nawet w praniu niezatartą plamę. Zaczęto nienawidzić rzeźników i sklepiarzy, ludzi przynoszących wam po czwadcześcia razy ten sam, znany na pamięć rachunek. Rachunek miał zawsze po lewej stronie nie tę samą plamę tłuszczu. I b tę samą plamę krwi, albo ten sam odcisk palca. O... cóż to za rozpaczliwi ludzie, domagający się zwrotu zwierzęcych kadłubów tak jakby to były co najmniej ulatujące anioły — kawalków cukru i zielonej soczewicy, sprzedawanych dwadzieścia razy drożej niżby się należało. Ah!... — pieniądze... pieniądze... rzucić im na głowy wszystko złoto świata...”

A tej zimy zaczęto u Aleraców palić chrustem.

Teraz to już wszyscy oni słyszeli kosiarki młodego Graewa. I stary p. Guillaume Alerac, i jego wnuczka Corolle, nawet zakochana w Graewie, krewna ich Mlle Huguenin, popychająca przed sobą niby stadko niesfornych jagniąt, wspomnienie dobrych chwil... Nie długo — myśli Corolle — kosy wkroczą na dziedziniec, a pewnego ranka obudzą nas, kosząc dywany naszych sypialni...

Z jednej strony są Aleracowie, a z drugiej przybysze — chłopci.

Przyszli tu przed pięćdziesięciu laty i z błękitu nieba wyrosli niby Wikingowie. Na czele szły dwie kozy, za nimi Jonathan Graew (ten sam, który po śmierci synów usiłował wskreszyć ich przywidołszy przed dom plugi)... potem dwaj synowie niosący kosy, a dopiero za wszystkimi matki z ptakami w klatce. Stanęwszy przed bramą uklopili się, ale ona patrzyła — przed siebie prosto, w samo niebo. I tak zatrzymali się. Zatrzymali się na dobre. Pożyczali chłopom pieniądze na inwestycje, na dokup, aż pewnego dnia okazało się, że niema już we wsi

## Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

MARKS H. K.: Ja i miłość. Powieść. Przekład z ang. M. Rafałowicz - Radwanowicz. 8° str. 283. Warszawa 1935. Księgarnia Popularna. Zł. 6.—

MEONICKA W.: O szarej godzinie. Powiastki dla grzesznych i niegrzesznych dzieci. Ilustr. W Witwicki i J. Krajewski. 8° str. 142. Lwów 1934. B. Polonicki. Kart. zł. 4.80.

OSTROWSKI J.: Polscy konkwistadorzy. z ilustr. 8° str. 96. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.10.

OUFARD G.: Powaby Rosji Sowieckiej. Przel. A. Sozańska. 8° str. 231. Poznań 1935. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 4.—

PASŁAWSKI ST. KS.: Pokrzyżowane plany, z ilustr. 8° str. 303. Warszawa 1935. Kronika Rodzinna. Zł. 2.50, kart. zł. 3.50.

Polskie prawo patentowe. Rozporządzenie Prezyd. Rz. p. z d. 22 marca 1928 o ochronie wynalazków, wzorów i znaków towarowych. Opracowali dr. A. POJIKO i J. GU-TOWSKI. 8° str. X i 395. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff. Zł. 12.

SCHWARTZ J. dr.: Podrecznik atlasu fizycznego i psychicznego rozwoju młodzieży do użytku studiujących pedagogikę i nauczycieli. 8° str. 86. 71 tablic. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 5.80.

SIERPIŃSKI W. dr. prof.: Przekroje. Wstęp do teorii liczb niewymiernych. 8° str. 32. Lwów 1934.

Książnica - Atlas. Zł. 1.—  
SIKORSKI W.: Wychowanie fizyczne w szkole powszechnej. Podrecznik dla nauczyciela. 8° str. 166. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 3.30.

STASZEWSKI J.: Generał Józef Zaluski. 8° str. 122. Poznań 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 4.—

SZAWLEWSKI M.: Nowy świat. Traktat „Rzeczywistości Polskiej”. 8° str. 205. Warszawa 1935. Ossolineum. Zł. 6.—

SZELBURG - ZAREMBIANKA EWA.: Bursztynowy talizman. Opowiadania z czasów dzisiejszych, z ilustracjami. M. Wisznickiego. 8° str. 130. Lwów 1935. K. S. Jakubowski. Kart. zł. 3.—

TARWID K.: Muchówki mieszkaniowe. 8° str. 39. Warszawa 1935. M. Arct. Zł. 0.80.

TUWIM J.: Polski słownik pijacki i antologia bachiczna. 8° str. 303. Warszawa 1935. „Rój”. Zł. 12.—

ZIELIŃSKI T.: Rzeczpospolita rzymska, z 16 tabl. ilustr. 8° str. 502. Warszawa 1935. Towarzystwo Wydawnicze. Zł. 15.—

ZNAMIEROWSKI O.: Podstawowe pojęcia teorii prawa. Cz. I. Układ prawny i norma prawna. Wvd. 2-cie. 8° str. 224. Poznań 1934. Górski i Teizlaw. Zł. 5.60.

ZURAKOWSKA Z.: Jutro niedziela. Opowiadania. 8° str. 79. Warszawa 1935. Towarzystwo Wydawnicze. Zł. Kart. 2.00.

\*) WIESŁAW WÓHNOUT: Sprawa i miłość. Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 284.

\*) IRENA PANNENKOWA: Wiozy. Poznań 1934. Str. 222. Księgarnia Św. Wojciecha.

\*) MONIQUE SAINT-HELIER: Bois Mort.